

Edward Hartwig



*Wierzby*

*Ze wszystkich tematów, jakie podejmuje w swojej twórczości, pejzaż polski wydaje się tematem najulubiejszym, wkłada wń tyleż serca, co artystycznej i technicznej wiedzy.*

Edward Hartwig / WSTĘP  
Julia Hartwig

*Album, który miłośnicy fotografii Edwarda Hartwiga otrzymują dzisiaj, wskazuje, że umiłowanie natury towarzyszyło mu w całej jego drodze artystycznej. Nigdzie też, ani wśród harmonijnie ukształtowanych parków i ogrodów Europy, tak przecież urzekających i zarazem bliskich dzięki wspólnej tradycji stylów, ani wśród bujnej roślinności egzotycznych krajów, które zwiedza w swoich licznych wояżach, nie czuje się tak dobrze jak na swojskich szlakach Lubelszczyzny, Sandomierskiego, Mazowsza czy Podkarpacia. Od dzieciństwa znane, a sztuką fotograficzną uwiecznione widoki, składają się na archiwum dziesiątków tysięcy zdjęć, stanowiących nieporównywalną z niczym w bogactwie i różnorodności suitę polskiej ziemi i jej zgrzebnego często pejzażu, podniesionego przez artystę na wyżyny przepychu wprost królewskiego. I wydaje się, że właśnie w tym rodzimym pejzażu dochodzi do głosu pełnia osobowości Hartwiga, że widzenie natury staje się najwyższym sprawdzianem jego twórczości, tak przecież bujnej i różnorodnej.*

Edward Hartwig nigdy nie szukał doskonałości w ograniczeniu. Ani formalnym, ani tematycznym. Formalnie eksperymentował zawsze, ale tyle tylko, ile wymagało nowoczesne widzenie świata i poczucie łączności z dążeniami współczesnych twórców. Tematycznie — rzucił się bez wahania w każdą nadarzącą się przygodę wizualną, nie stawiając sobie żadnych barier ograniczających, idąc zawsze za tym, co go urzekło. Nigdy nie gonił za nowością programowo, choć też od niej nie stronił. Żyjąc jak każdy z nas, zarówno w żywiole natury jak kultury, z niestrudzoną ciekawością jaka go cechuje, stara się w swojej sztuce stworzyć możliwie pełny obraz zastanego i tworzącego się świata. Wieczności i niezmienności poszukuje w naturze, w tych jej okolicach i zakątkach, które zachowały jeszcze swój pierwotny charakter i piękno, mimo zmian, czasem nieuniknionych, bo podyktowanych wymaganiami postępu, niekiedy bezmyślnych i wynikających z braku pietyzmu dla rodzimej schedy.



*Fotografia Edwarda Hartwiga nie ma jednak nic wspólnego ani z systematycznym utrwalaniem na zdjęciach swojskich zabytków, ani z programowym obfotografowywaniem wybranych okolic Polski dla celów dokumentacyjnych. Jego zdjęcia to swobodnie prowadzony pamiętnik z wypraw artysty, w którym z ogromną finezją pokazuje on obraz ziemi bliskiej nam wszystkim, choć zbyt mało znanej, byśmy potrafili docenić wszystkie jej uroki. Zachwyty artysty udziela się odbiorcy w sposób najbardziej bezpośredni, romantyczność tych zdjęć, jak określają to niektórzy, łączy się z komunikatywnością uczucia i formy.*

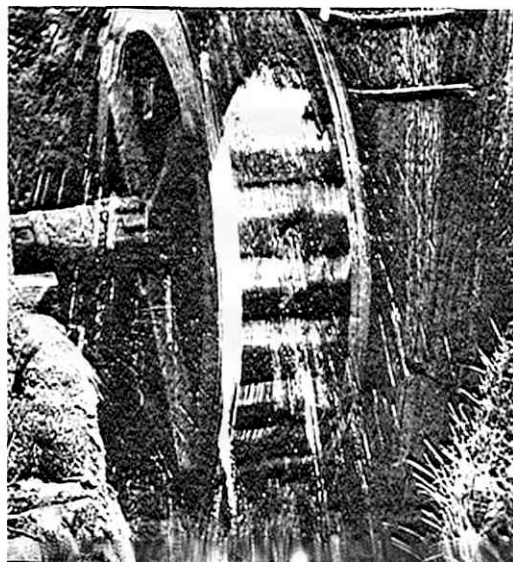
*Bywa, że tu, gdzie rozciągał się szeroki obszar łąk widocznych na zdjęciu sprzed lat, wybudowano nową linię kolejową, lotnisko lub fabrykę, że malowniczą dolinę, którą podziwiamy w archiwum Hartwiga, zamieniono od tego czasu w zalew wodny. Niejedna okolica, niedawno jeszcze odległa od cywilizacji i ruchu turystycznego, cicha dotąd i sielska, stanowiąca temat jego artystycznych impresji, stała się następnie celem masowych wycieczek i hałaśliwych biwaków. Niejedna chalupa pod strzechą, ogrodzona plotem z wierzbowej łoziny lub z ozdobnie przykrojonych desek, niejedna sędziwa stodoła przyciągająca wzrok swoimi proporcjami, znikły dziś bez śladu; nie mówiąc już o zaoranych alejach starych drzew, które wytrzebiono, i malowniczych skarpach dolin rzecznych, stanowiących niegdyś schronienie dla ptactwa i drobnej zwierzyny. Tak więc, choć ich autor nie zakładał sobie takiego celu, zdjęcia nabierają z czasem wartości dokumentu, natura bowiem zmienia się, podobnie jak wszystko dookoła nas.*

Przykładem takiego zdjęcia, które po latach nabrało wartości niejako historycznej, jest jeden z przedwojennych pejzaży Hartwiga, zaliczany do jego okresu retro — bo nazwą tą, odnoszącą się do sztuki końca ubiegłego wieku i początków nowego stulecia, określa się czasem zjawiska artystyczne noszące cechy stylu nieodległego w czasie, ale już przyblakłego i „niemodnego”. Zdjęcie to przedstawia okolice Lublina w porannej mgle, z której wylaniają się, na drodze wysadzonej wierzby, kobiety w chustkach, niosące do miasta bańki z mlekiem w zarzuconych na plecy lnianych płachtach. Fotogram ten, pokazywany na wystawach klasyków naszej fotografii, podobnie jak cała seria „zmięczonych” krajobrazów Hartwiga z tego okresu, ma przede wszystkim wartość artystyczną. Ale dostarcza nam również dodatkowej informacji o przedwojennej kulturze materialnej i obyczajowości wsi lubelskiej. Bo kto widuje dzisiaj kobiety dźwigające w ten sposób mleko do miasta? I gdzie spotyka się jeszcze lniane płachty, tkane ręcznie na domowym warsztacie? Może czasem gdzieś w rejonach północno-wschodnich, ale dziś są to raczej tkaniny ozdobne, narzuty lub chodniki. Używane teraz na wsi płachty i prześcieradła są już niemal wyłącznie pochodzenia fabrycznego.

W krajobrazach fotografowanych przez Hartwiga spotykamy jednak rzadko ludzi. Owszem, pojawiają się czasem, jako sztafaż, ludzie i zwierzęta. Jakby po to, żeby przypomnieć nam o ich związkach ze światem przyrody. Nie stanowią jednak nigdy centrum artystycznego widzenia. Pejzaże te żyją własnym, odrębnym życiem, jak gdyby podpatrzonym z ukrycia: ziemia zdaje się tu oddychać radością istnienia, cała oddana pracy wzrostu i skrzepianiu sił żywotnych swoich roślin i drzew, suwerenna w porozumiewaniu się z żywiołem powietrza, chmur, wiatru i deszczu, wystawiona na śnieżne zawieje i upalny żar letni. Hartwig nie zadowala się ukazywaniem wyszukanych fragmentów lub prezentowaniem tak zwanych „ciekawych ujęć”. Jest wierny obrazowi, który ma przed oczami, stara się pokazać naturę w całym jej bogactwie, z zachłannością, która odpowiada zachłanności samej natury. Fotografia Hartwiga jest jakby odpowiedzią serca i wzruszenia na wyzwanie tego nieogarnionego piękna, które się przed nami rozciąga. Ukazuje w swoich zdjęciach wszystko, co nam bliskie: świat drzew i lasów, łąk, rzek i rzeczulek, szerokie śniegowe polacie kryjące zasypane po okna chalupy, świat rozlewisk, w których odbija się jesienią mdły zarys słonecznej tarczy lub połyskujących zimnym światłem tuż przed zmierzchem pogodnego dnia, świat łagodnie sfałowanych wzniesień Pogórza, z kępami krzewów i stadami pasących się owiec. Do świata tego artysta powraca bezustannie szukając w nim harmonii i elementarnej prawdy, tak trudnej do odkrycia w świecie miejskiej gorączki i maskujących konwencji ludzkiego współżycia. Natura sprawia, że do głosu dopuszczone zostają niezmiernie zasoby liryzmu i romantycznych umiłowań. Pejzaże Hartwiga stanowią niejednokrotnie rodzaj czarownej feerii, zwłaszcza kiedy nadaje im ów srebrzysty koloryt, dzięki któremu materia drzew i krzewów staje się jakby z włosów anielskich utkana, stanowiąc rodzaj niezwyklej naturalnej dekoracji.



*Pokazać krajobraz polski tak, by ogarnąć go w całej jego różnorodności, od Tatr po Bałtyk, od zielonego i czarnego Śląska po śpiewną Białostoczczyznę i surowy urok Bieszczadów — to rzecz prawie niemożliwa, jeśli uniknąć chcemy powierzchowności i dowolnych wyborów. Próby takiej dokonał już zresztą kiedyś w albumie *Moja ziemia*, który jest jedynym bodaj u nas autorskim albumem fotograficznym poświęconym wyłącznie pejzażowi. Bo książkę *Pieniny* poświęcił jednej już tylko z okolic Polski, które sobie szczególnie upodobał. Tym razem intuicja podyktowała Hartwigowi wyjście ujmujące w swojej prostocie i zarazem oryginalności: postanowił pokazać Polskę poprzez jej drzewa, a nawet jeszcze więcej: poprzez najbliższą i najserdeczniej związaną z charakterem rodzimego pejzażu — naszą poczciwą, pospolitą wierzbę. Czy mu się to udało? To już oceni każdy z nas z osobna. Jedno jest pewne: ten wąski z pozoru temat wyprowadził go na wszystkie polskie drogi i pola, na północ i południe, na zachód i wschód Polski, bo nie ma — poza najwyższymi Tatrami — w Polsce miejsca, gdzie nie napotkalibyśmy tego drzewa, mającego dziesiątki odmian, a w każdej odmianie — tysiące własnych postaci. Bo żadne chyba inne drzewo nie przybiera tylu i tak ciekawych kształtów jak wierzba, nie nosi tylu cech indywidualnych.*



Wiele jest elementów, które decydują o jakości pejzażu: ukształtowanie powierzchni, gatunek ziemi i jej barwa, trawy, krzewy i kwiaty, wody rzek, przepływających bystro w jarach lub rozlewne; a także nad tą ziemią niebo skłębione chmurami lub czyste; wszystko to składa się na krajobraz. Ale ostateczny charakter nadają mu drzewa. Mickiewiczowskie „rodzinne drzewa”. Kiedy stoją samotnie na polach niczym zatrzymani w wędrowce pielgrzymi, albo jak obejmująca się ramionami grupa taneczna, tworząc młody gaj. Albo jak trudny do przeniknięcia tłum; kiedy tłoczą się w ciemnej masie boru. O krajobrazie stanowi wszystko co żyje i rośnie, rozwija się i kwitnie, ale drzewa sprawują nad nim straż, są najtrwalszym uczestnikiem tego nieograniczonego misterium natury, dopóki nie obali ich wiatr czy burza, albo nie uszkodzi ludzka ręka. Drzewo łączy ziemię z niebem, jego stojąca postawa najbardziej przypomina człowieka, nawet jego kształt ma w sobie coś ludzkiego. Kiedy idziemy przez pustkowie, spotkanie z drzewem jest spotkaniem braterskim. Drzewa zdrzewiają okolice podobnie jak ludzie ziemię zaludniają. Ze wszystkiego też, co istnieje na ziemi, człowiek najchętniej porównuje się do drzewa. Przypisuje drzewu charakter, obdarza je duszą. Jest bowiem w drzewie szlachetność postawy, dzielność w cierpliwym znoszeniu chłodów i huraganów, przypominająca wytrwałność ludzką na przeciwności losu, co sprawia, że tak często wspominają o drzewach poeci, że od wieków służą one za figurę retoryczną mówcom i kaznodziejom. Mają też one poczesne miejsce w symbolice ludowej, w ludowych pieśniach i gadkach.

*Niegdyś były drzewa przedmiotem kultu, bóstwami lub pośrednikami boskich mocy. I, podobnie jak bóstwom, przypisywano im osobowość i charakter, dobre lub złe intencje. Za drzewo najdosjniejsze uchodził od niepamiętnych czasów dąb, drzewo święte druidów i starożytnych Greków, czczony też w świętych gajach Słowian. Majestatyczny olbrzym, dobrotliwy w czas pogody i siejący postrach, kiedy błyskawice były w niego podczas burzy. Czią otaczano również lipę, drzewo zgody i domowego bezpieczeństwa. A także świerk i jodłę, pod którą sny były proroce. I życzliwy ludziom jesion z jaworem. W najstarszych opowieściach, w mitach różnorodnych kultur, występują drzewa towarzysząc wierzeniom ludzkości: drzewa prorokujące, wyrokujące o losie poszczególnych ludzi i zbiorowości.*

Człowiek żyje z drzewami za pan brat, a jednak czuje przed nimi tajemniczy respekt. Sadzi je też nie tylko dla licznych pożytków i nie tylko dla ich urody, lecz także z racji wyższych, nie mających ani charakteru praktycznego ani estetycznego. Sadzić drzewo — to jakby przedłużać własne życie. „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las” — mówi przysłowie. W wielu krajach świata panuje tradycja sadzenia drzew dla upamiętnienia i uświęcenia ważnych wydarzeń życia domowego lub publicznego. Wybiera się w tym celu gatunki najbardziej okazałe i długowieczne: dąb, platan, baobab, cedr lub sekwoję, zależnie od szerokości geograficznej.

Podróżując po świecie poznajemy nie tylko nowych ludzi i nowe obyczaje — również nowe gatunki drzew. Krajobraz Włoch, znanych z popularnej pieśni jako kraj „gdzie cytryna dojrzewa”, kojarzy się nam również z wystrzelającym w niebo cyprysem o ciemnej zieleni i z parasolowatą pinią; brzoza uchodzi za drzewo typowe dla krajobrazu rosyjskiego; z Paryża pamięta się głównie laciaste platany nad Sekwaną; drzewa oliwkowe nadają charakter krajobrazowi greckiemu; pejzażyści angielscy, podobnie jak holenderscy, z upodobaniem umieszczają na swoich obrazach stare, rozłożyste dęby wznoszące się wśród pól i na wrzosowiskach.

*A z naszych drzew — klonów, jesionów, sosen, wierzb i topoli — które uznać by można za najbardziej typowe? Edward Hartwig uznał za takie wierzbę i nie jest w tym przekonaniu odosobniony. Być może tylko lipa, ta z fraszki Kochanowskiego, zadomowiona w naszej pamięci dwuwierszem „Gościu, siądź pod mym liściem i odpocznij sobie” — mogłaby tu walczyć z wierzbą o pierwszeństwo. Ale lipa staje się u nas ostatnio drzewem coraz radszym, coraz mniej na wsi i w mieście alej i ulic wysadzanych lipami o słodko pachnących kwiatach, wokół których unoszą się z brzękiem roje pszczoł, coraz mniej też lip przy wiejskich domostwach. Gdy tymczasem wierzba wciąż jeszcze towarzyszy nam wiernie, być może dzięki swoim skromnym potrzebom i łatwej adaptacji. Jest nad morzem, zwłaszcza na Żuławach, i w górach, aż po górny regiel — nawet na wydmach, gdzie przybiera postać płożącą. Jej znajome kształty spotykamy nad brzegami rzek i na mokradlach, są wierzb dziesiątki odmian, a wszystkie rozpoznawalne, jak członkowie licznej rodziny o silnie zarysowanych wspólnych cechach: jest wierzba piaskowa i wiciowa, siwa i lapońska, są wreszcie gatunki dekoracyjne wierzb płaczących i kulistych, i wiele jeszcze, których nie sposób tu wymienić. Pospolitość tego drzewa sprawiła, że stało się nam bliskie. Wystarczy wetknąć w ziemię patyk wierzbowy a możemy być niemal pewni, że pokryje się on na wiosnę zielenią. Uważana kiedyś za drzewo płodności, czczona była wierzba i strojona w kwiaty przez kobiety pragnące potomstwa. Podobnie jak lipa była drzewem opiekuńczym starych rodów lub klanów.*

*Wyobrażenie o wierzbie jako o drzewie bardzo polskim towarzyszy nam od dzieciństwa. Nie tylko spotykamy je przy każdej niemal drodze, ale jej fantastyczne kształty dodają niesamowitości ilustracjom do baśni ludowych znajdujących się w dziecięcej bibliotece: tu ktoś ukrył skarb w wierzbowej dziupli, tam znów diabeł usadowił się na jej czubie i straszy zapóźnionego przechodnia podczas pełni; co zaś jeszcze dziwniejsze, bywa, że diabeł ten nazywa się Rokita, rokita zaś to nic innego jak nazwa jednej z odmian wierzby.*

*Jak z tego widać, niesamowite postaci przybierane przez to drzewo sprawiły, że ludowa wyobraźnia od bardzo dawnych czasów włączyła wierzby w krąg gusiel i nieczystych duchów. Jest bowiem w wierzbach różnorodność kształtów i postur ogromna: jedna przygarbiona, z rozczochraną koroną liści, jak stara wiedźma-zamawiaczka, inna jak zreumatyzowana starucha o powykręcanych członkach, z pokręconymi naroślami wzdłuż chropowatego pnia, jeszcze inna z dziuplą na przetrzał, jak jednooki cyklop, niechętny światu, i znów inna — pusta górą jak tuba z kory, z której rozlega się nocą pohukiwanie sowy, nie mówiąc już o tej, która wywrócona kiedyś przez burzę, rośnie teraz głową zaryta w ziemię, z korzeniami sterczącymi w niebo, igrając sobie z naturalnego porządku.*

*Kiedy znakomity autor plakatów, Tadeusz Trepkowski, szukał symboli obrazowych, które najbliższe byłyby muzyce Chopina, umieścił nad rzędem czarno-białych klawiszy fortepianu — szereg wierzb przydrożnych. Z wierzbą też połączył postać Chopina twórcy pomnika patronującego Łazienkom. Jest bowiem jakaś niewątpliwa bliskość tych drzew z chopinowskimi mazurkami, z ich zadumą i skocznością, z mazowiecką ziemią, której melancholijną monotonię ożywiają swoimi człekopodobnymi sylwetkami. Ze wspomnień mgieł, jakie wokół tych wierzb snują się rankiem i wieczorem, kiedy parują pobliskie łąki, rodzi się to uczucie rzewności przybierające postać muzycznej i poetyckiej nostalgii. „Zielone przy drogach wierzb i topole” wspomina Mickiewicz w Panu Tadeuszu, o „wierzbami oplakanej wodzie” mówi w Godzinie myśli Słowacki. Z poetycką apostrofą zwraca się do wierzy Teofil Lenartowicz:*

*Witam cię, drzewo ty najmniej cenione,  
Piasków Mazowska jedyna ozdobo!  
Na pustej wydmie wraz się schodzę z tobą,  
nad wodą, w polu i przed wiejską sienią!*

*Bo też najwięcej jest jej na Mazowszu. Ale poeta Kazimierz Laskowski czyni jej dom szerszym, nobilituje ją uznając za znak rozpoznawczy dla Polski całej:*

*Tyś widział gaje stepowych czereśni,*

*Widziałeś laurem spowite skały,*

*Mnie dość! Gdzie polem powiewa wierzbina,*

*Wiem, że się Polska kończy lub zaczyna.*

*Widzi w niej też niemego świadka polskiej historii, kiedy zapytuje: „Czy są na świecie pieśni /silniejsze od tych wierzbnych szlochów/ Na naszych drogach: Raszyn, Wola, Grochów!” I za słowami tymi widzimy zaraz pola bitew powstańczych i pobojuwiska, nad którymi pochylają się z miłosiernym szumem wierzby, i widzimy judymowską rozdartą sosnę i nurt wiernych rzek, cały ten tak polski pejzaż, który artyści na zawsze związali w naszej świadomości z historią i jej bohaterami.*



*Nie czytamy jednak z wierzby wyłącznie płaczki żalobnej i osmętnicy. Jej zadziwiająca siła żywotna i moc odradzania się, jej skromne potrzeby i odporność czynią ją podobną do pełnego żywotności ludu, który tę ziemię wraz z nią zamieszkuje. Ona pierwsza wita wiosnę zakwitając srebrnymi baziemi, kiedy śnieg leży jeszcze na polach i wiosna wydaje się tak daleka, że niemal nierzeczywista. Zrywamy więc wierzbowe bazie, żeby cieszyć się nadzieją, którą nam zwiastuje. Te kwitnące gałązki osypane „kotkami” są nie tylko zapowiedzią odejścia zimy, ale także naszą palmą pokoju na Palmową Niedzielę. Związana z obrzędem wielkanocnym, malowana na kartkach świątecznych i zawieszana na ścianie palma wierzbowa stanowi piękny symbol odradzania się w radości.*

*Z wierzby wycinał kiedyś pastuszek fujarkę. I jej melodyjny głos niósł się daleko polem, na przemian tęskny to znów skoczny. Dziś nie ma już pastuszków z fujarkami. Tylko wiatr gra ciągle w ruchliwych, wąskich listkach wierzby, towarzyszącej nam z serdeczną wytrwałością.*

JULIA HARTWIG

*Od utrwalania tego pejzażu rozpoczynał swoje fotografowanie. Wieś lubelska, nadbystrzyckie łąki w grubej porannej mgle, pośliznione koleinami drogi obsadzone drzewami i piaszczyste ścieżki niknące za pagórkiem, przecinki leśne, przestrzenie zbóż w południowym słońcu, porosłe trawą pobocza pól rozbielone kępami rumianków, lśniące lachy wiślane w blaskach zachodu, wśród dramatycznie zwichrzonych chmur, cienkie gałązki zarośli ledwo budzące się do życia na wilgotnym przedwiośniu – to ulubione wówczas przez niego tematy. Czy tylko wówczas?*



WYDAWNICTWO  
„SPORT I TURYSTYKA”

*Wierzby*